

O BOWIĄZEK.

Tomasz Corsari odzyskał świadomość. Jeszcze nawpół przytomny, począł zdawać sobie sprawę z tego, co zaszło. Zabił człowieka, zabił najserdeczniejszego przyjaciela. Strzelił później do siebie. Jak to było?

Zaraz... Przypomina sobie. Posprzeczał się przy grze w karty. Byli nieco podchmieleni. Cimetta uderzył go w twarz. I on strzelił. Strzelił do niego i do siebie. Co za nonsens... Co za nonsens... — Jak się pan czuje? — zapytał dr. Vacalopuli, wchodząc do pokoju. — Mam nadzieję, że dobrze. Uczyniłem wszystko, co było w mej mocy, by pana uratować. Ale widzi pan... Proszę się nie denerwować. Pan stanie przed sądem za zabójstwo.

Corsari zbladł śmiertelnie. — Stane przed sądem? — zapytał drżącym głosem. — I co? kara śmierci? Dr. Vacalopuli wzruszył ramionami. — Nie wiem. Musi pan wziąć tego adwokata.

Corsari roześmiał się nagle. — Więc po to pan mnie ratował, doktorze? Przecież zabiłem się. Jakiem prawem przywrócił mi pan życie, jeżeli pan wiedział, co mnie czeka? Uzdrowił mnie pan po to, by mnie oddać w ręce kata?

— A cóż powinienem był zrobić? — zapytał dr. Vacalopuli, uśmiechając się nerwowo.

— Ależ pozwolić mi umrzeć! — wykrzyknął Corsari. — Pan nie miał prawa usunąć mnie od kary, jaką sam sobie wymierzyłem, po to jedynie, by skazać mnie na karę inną... Może mam panu podziękować za to?

— Ale, przepraszam, my lekarze — odparł Vacalopuli zmieszany — mamy obowiązek wykonywać czynności, związane z naszym zawodem.

— Czem wasz obowiązek różni się od obowiązku policjanta? — z gorzką ironją zapytał Corsari.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — uniósł się Vacalopuli, głęboko poruszony. — Chciałby pan, aby doktor omijał prawo?

— Dobrze! Pan służył prawu — począł mówić Corsari z wściekłością. — Prawu, a nie mnie, biedakowi... Odebrałem sobie życie, a pan mi je przemocą przywrócił. Trzy, cztery razy próbowałem zerwać opatrunki. Nan zrobił wszystko, by mnie uratować, by mi wrócić życie. I po co? Po to, aby teraz z kolei prawo mi je odebrało i to w sposób okrutniejszy. Przecież pan zdaje sobie sprawę, że będę skazany na śmierć. Oto dokąd pana zaprowadził pański obowiązek lekarza. Czy to nie jest niesprawiedliwość?

A moja żona? Moje dzieci? Cóż teraz zrobią w życiu? Mogły być dziećmi samobójcy, to nie hańba, ale być dziećmi zbrodniarza?

I pan mi przywrócił życie, aby mnie posłać na śmierć? A nawet na ciężkie roboty w szczęśliwym przypadku? Czyż nie jest to straszną zbrodnią, daleko straszniejszą, niż ta, którą popełniłem, nie zdając sobie z tego sprawy?

Przecież nie mam już wyrzutów sumienia. Byłem nietrzeźwy. I odpokutowałem za swoją winę. Jakaż to sprawiedliwość, która na zimno karze człowieka? Jak będę mógł w więzieniu odpokutować za winę, o której popełnieniu nigdy nie myślałem, której bym nigdy nie popełnił, gdybym był trzeźwy?

I za twoją sprawą, doktorze, mam być skazany za zbrodnię, a moje niewinne dzieci mają być skazane na połańbienie? Jakiem prawem pan mnie ratował?

Wyprostował się, opanowany wściekłością, zawył, począł drapać twarz paznokciami, rzucił się głową naprzód na łóżko, chciał wybuchnąć płaczem, ale nie mógł...

Otworzyły się drzwi.

Wbiegła jego żona. Przestraszona, rzuciła się ku niemu. Uniosła mu głowę, patrząc z przerażeniem na jego trupio blade twarz.

Chciała go podnieść, posadzić na łóżku zpowrotem, ale nagle, z krzykiem wstępu i przestachu cofnęła ręce: jego koszula była zaplamiona świeżą krwią.

— Doktorze, doktorze! Rana się otworzyła! — krzyczała w obłądnym przestachu.

Dr. Vacalopuli zbladł. Chciał pobiec na ratunek, nie mógł się jednak ruszyć z miejsca.

— Rana?

Przewycięził się.

Wybiegł do sąsiedniego pokoju. Zatelefonował po swego asystenta. Kazał służbie pędzić czystą wodę. Wbiegł zpowrotem do pokoju chorego i zbliżył się do łóżka.

Ale Corsari jednym spojrzeniem swych szklistych oczu osadził go na miejscu.

— Nie ma pan prawa... Słyszysz pan... nie ma pan prawa... — wyszeptał zbielełymi ustami.

— Ma rację! — rzekł doktor, opuszczając ręce. — Słyszysz pani? Nie mogę, nie powinienem...

Tłum. F. M.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok V.

Łódź, dnia 15 kwietnia 1928 roku.

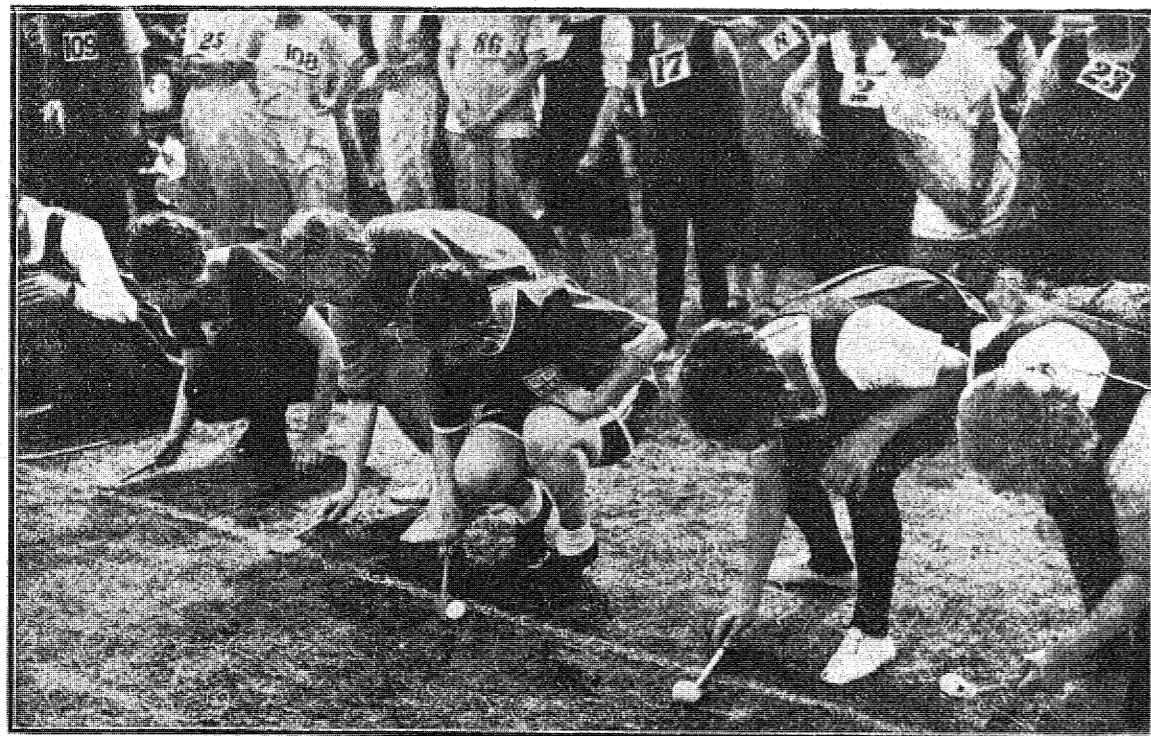
Nr 16.

Parki łódzkie po śnie zimowym.



Niedostępne zwykle w okresie wiosennych roztopów parki w Łodzi w roku bieżącym dzięki sprzyjającym warunkom atmosferycznym, ściągają liczne rzesze mieszkańców, spragnionych dobroczynnego słońca. Powyżej fragment wiosenny z parku im. Henryka Sienkiewicza z uwijającą się tu i ówdzie dziatwą Łodzi.

Fot. A. Meyer.



Młodzież żeńska Anglii z zamięłowaniem uprawia szczególny rodzaj sportu — bieg z jajkiem na łyżce. Widzimy to na powyższej rycinie.

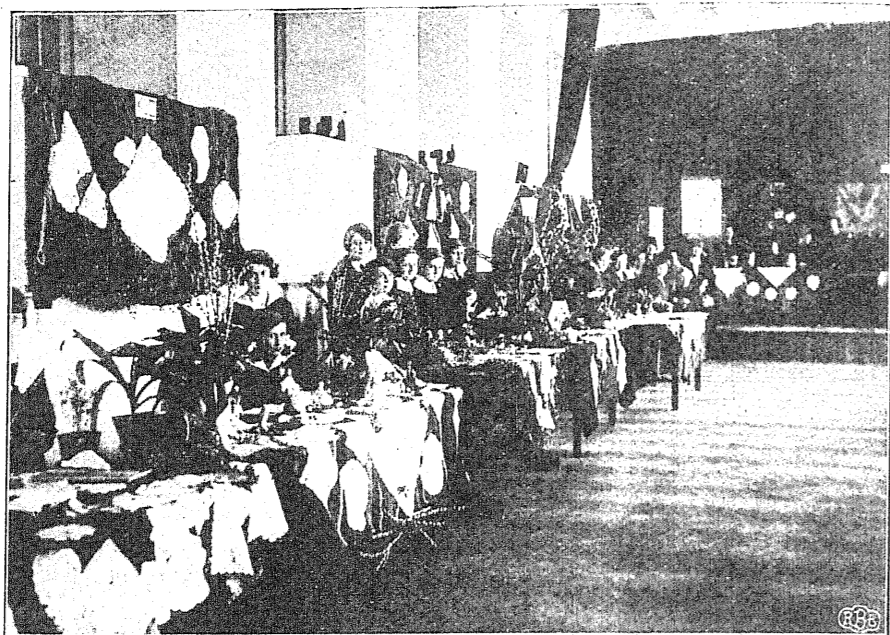
TEATRALJA.

„Don Kiszot” — Miłaszewskiego. — Miły gość z Pragi. — Nowości paryskiego sezonu. — Zmodernizowany... Arystofanes.

„Fantazja dramatyczna” p. Miłaszewskiego na nieśmiertelny temat Cervantesa, zawiodła oczekiwania, pokładane — ze zrozumiałych względów — w autorze „Farysa”. Miłaszewski — poeta nie dał sobie rady z zadaniem Miłaszewskiego — dramaturga, tem bardziej, że chodziło o rzecz tak trudną i niebezpieczną, jak udratyzowanie powieściowego arcydzieła hiszpańskiego pisarza. Pegazowy jeździec okazał się, jak to często bywa, dość niezdamnym piechurzem — i gdy zrezygnował ze skrzydeł poetyckiej strofy, stracił poprostu możność harmonijnego i wdzięcznego poruszania się. Pomimo paru pięknych fragmentów, będących świadectwem — niewątpliwego zresztą i przedtem — lirycznego talentu p. Miłaszewskiego, całość jego przeróbki jest błada i niewiele o pierwowzorze mówiąca. Jak jednoznacznie w tym wypadku stwierdza krytyka, w scenicznej adaptacji „Don Kiszota” zatępiły się wogóle wszystkie linie jego myślowych koncepcji, straciły barwę i wyrazistość te symboliczne i wiecznotrwale walory Cervantes'owskiego dzieła, które stanowią i stanowiąc będą zawsze największą jego artystyczną i filozoficzną atrakcją. „Miłaszewski zatracił w swej sztuce — mówi Emil Breiter — wszelką grę kontrastów Don Kiszot z nikim nie wależy, fantastyczność wypełnia od początku do końca całą akcję i właściwie nie wiadomo, na czym polega przysłowiowa donkiszoteria bohatera, jakie są jej źródła psychiczne i jakie są jej motywy moralne...”

Jedenaście obrazów „fantazji dramatycznej” przybrał w bogatą, nadmiernie może nawet bogatą, szatę sceniczną reżyser p. Borowski, dając eklektyczną mieszankę stylów i manier reżyserskich — ku większej barwności i żywości widoków. Dowcipne i piękne dekoracje skomponował niezawodny Frycz. Pp. Maszyński (Don Kiszot) i Samborski (Szanso Pansa) piękniemi i przemyślanemi swemi kreacjami nie po raz pierwszy przemówili językiem gry scenicznego, znamionującym elitę polskiego aktorstwa. Całość przedstawienia postawiona na poziomie, cechującym wszystkie wielkie premjery Teatru Polskiego.

Na zaproszenie Tow. Szerzenia Sztuki Polskiej przybył do Warszawy jeden z najwybitniejszych teatrologów czeskich, dyrektor Teatru Miejskiego w Pradze, dr. J. Kodiczek. Sympatyczny gość, będący wielkim znawcą i miłośnikiem dramatycznej twórczości polskiej, wygłosił bardzo interesujący odczyt o współczesnym teatrze czeskim. W rozmowach z dziennikarzami dr. Kodiczek podkreślił m. in., że sztuki polskie z reguły cieszą się powodzeniem, zwłaszcza takie sztuki z wielkiego repertuaru, jak wystawiona jeszcze przed wojną „Beatrix Cenci” — Słowackiego, a następnie „Nieboska Komedja” (w r. 1923) lub „Ballady na” (w r. 1924). Z zacięciem też przyjmuje publiczność czeska współczesnych autorów polskich, jak Grubiński, Krzy-



Samorząd uczniowski gimnazjum państwowego im. Królowej Jadwigi z dyr. p. J. Jędrzychowską w Pabjanicach zorganizował w dniu 1 b. m. „Bazar Świąteczny”, zaopatrzone w różnorodne prace młodzieży. Powyżej fragment bazaru.

woszewski, Kiedrzyński i inni. Bardzo ciekawą opinię wypowiedział dr. Kodiczek w kwestji upodobań publiczności czeskiej: „Kasowe powodzenie — mówił dyrektor teatru na Winohradach — mają wszystkie bez wyjątku sztuki t. zw. „wielkiego repertuaru”, t. zn. arcydzieła literatury dramatycznej oraz wszystkie przedstawienia eksperymentalne. Jeśli zaś chodzi o kierunek pośredni, to powodzenie mają jedynie bardzo dobre sztuki, lub szczególnie frafilające do gustu publiczności, np. „Proboszcz wśród bogaczy” Vautela. Podczas swego pobytu w Warszawie, dr. Kodiczek rzucił dobrą myśl wymiany zespołów teatralnych pomiędzy Warszawą a Pragą na pewien określony przeciąg czasu. Realizacja tej idei, aczkolwiek uzależniona od współdziałania całego szeregu czynników, nie powinna jednak — zdaniem naszym — natrafić na poważniejsze trudności.

Są pewne oznaki na niebie i na ziemi, że nawet paryskiej publiczności przejadły się i znudziły już doszczętnie bulwarowe sztuczki rzemieślniczego stempla, będące — niestety — jednym z najpoważniejszych artykułów eksportowych. Jednym z dowodów zmiany przeciętnych upodobań jest m. in. wielkie powodzenie sztuki Lucjana Descaves'a p. t. „Owoce miłości” („Les fruits d'amour”), sztuki solidnej, napisanej według nieco starodawnych recept Scribe'ów i Augier'ów, a zawierającej bardzo wyrażną, umoralniającą tezę. Treść sztuki Descaves'a da się opowiedzieć w niewiele słowach: Pewna filantropka, p. de Brienne jest założycielką schroniska dla nieszczęśliwych dziewcząt, które fałszywy krok życiowy okupują konsekwencjami macierzyństwa. Pewnego dnia przybywają tam dwie młodzianki dziewczyny, mające zostać matkami: stenotypistka Jeanne'a, uwiedziona przez swego chlebodawcę, zgorzkniała i

zrozpaczona oraz Antoinette'a, córka bogatego przemysłowca, której niedoświadczenia nadużył jakiś elegancki chłystek. Dzięki intrydze Jeanne'y ojciec Antoinette'y, przed którym dotychczas ukrywano stan córki, dowiaduje się o wszystkim, nie wiedząc tylko o tem, że Jeanne'a jest jego własną ofiarą. To też, gdy szalejąc z gniewu i oburzenia — przybywa do schroniska, aby wygłosić przed córką lekcję moralności — role błyskawicznie się zmieniają, skoro przed p. Ribandier obok córki staje również — Jeanne'a. Ta konfrontacja, dająca autorowi okazję do zbudowania kilku mocnych i prawdziwych scen, odbywa się w akcie drugim; najlepszym w sztuce. Akt trzeci jest już raczej doczepką, tonącą w powodzi scenicznego retoryki — całość jednak, jak wspomnieliśmy, jest wcale nieprzeciętna i cieszy się znacznym powodzeniem.

Nie zasługuje natomiast na nie nowa krotchwila Jerzego Berra, wystawiona w teatrze „Sary Bernhardt” p. t. „Le passage de Venus”. Głupstwem to oparte jest na pomysle, zapożyczonym bodaj z Labiche'a: chodzi mianowicie o to, że jakiś astronom, który podpisał sobie z wieczora na oficjalnym bankiecie, traci nazajutrz pamięć wydarzeń nocy poprzedniej, a — znalazłszy, Bóg wie skąd, w kieszeni surduta 1,400 fr. — zaczyna uważać się za złodzieja i gwałciciela, przeczytał bowiem w dziennikach porannych o nocnym napadzie na jakąś damę i o grabieży 1,400 fr. Oczywiście cała to — polegająca na autosuggestji — qui pro quo rozplątuje się dość łatwo, astronom przypominając sobie, że suma 1,400 fr. pochodzi ze składek bankietowych na pomnik Kopernika — zaś prawdziwy napastnik i rzeźmiśzek dostaje się w ręce sprawiedliwości. Najnowszą bzdurę p. Berra oceniły publiczność i krytyka bardzo surowo.

Delta.

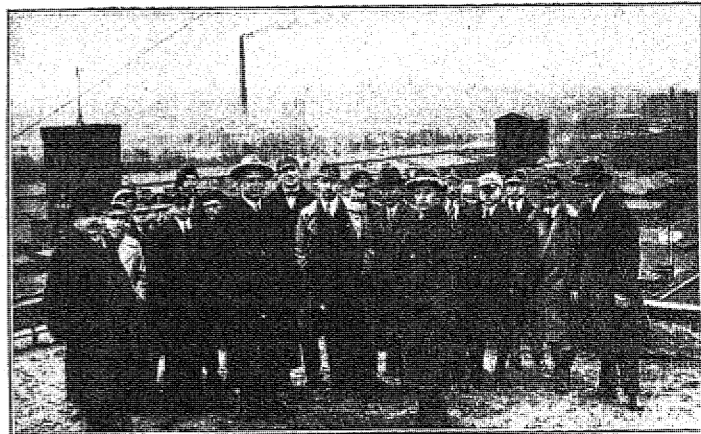
Z Miejskiej Galerji Sztuki.



W pierwszych dniach kwietnia salony Miejskiej Galerji Sztuki w Łodzi rozjarzyły się blaskiem tęczy barw. P. Zofja Raczyńska, posiadająca w Paryżu pracownię malarsko-dekoracyjną, wystawiła przepiękne, niezwykle oryginalne, artystycznie wykonane eksponaty z dziedziny rękodzielnictwa artystycznego. Powyżej bogate kolekcje dywanów, lalek, szali i makatów.



Grupa uczestników turnieju szermierczego, jaki odbył się w Łodzi o mistrzostwo D. O. K. IV.



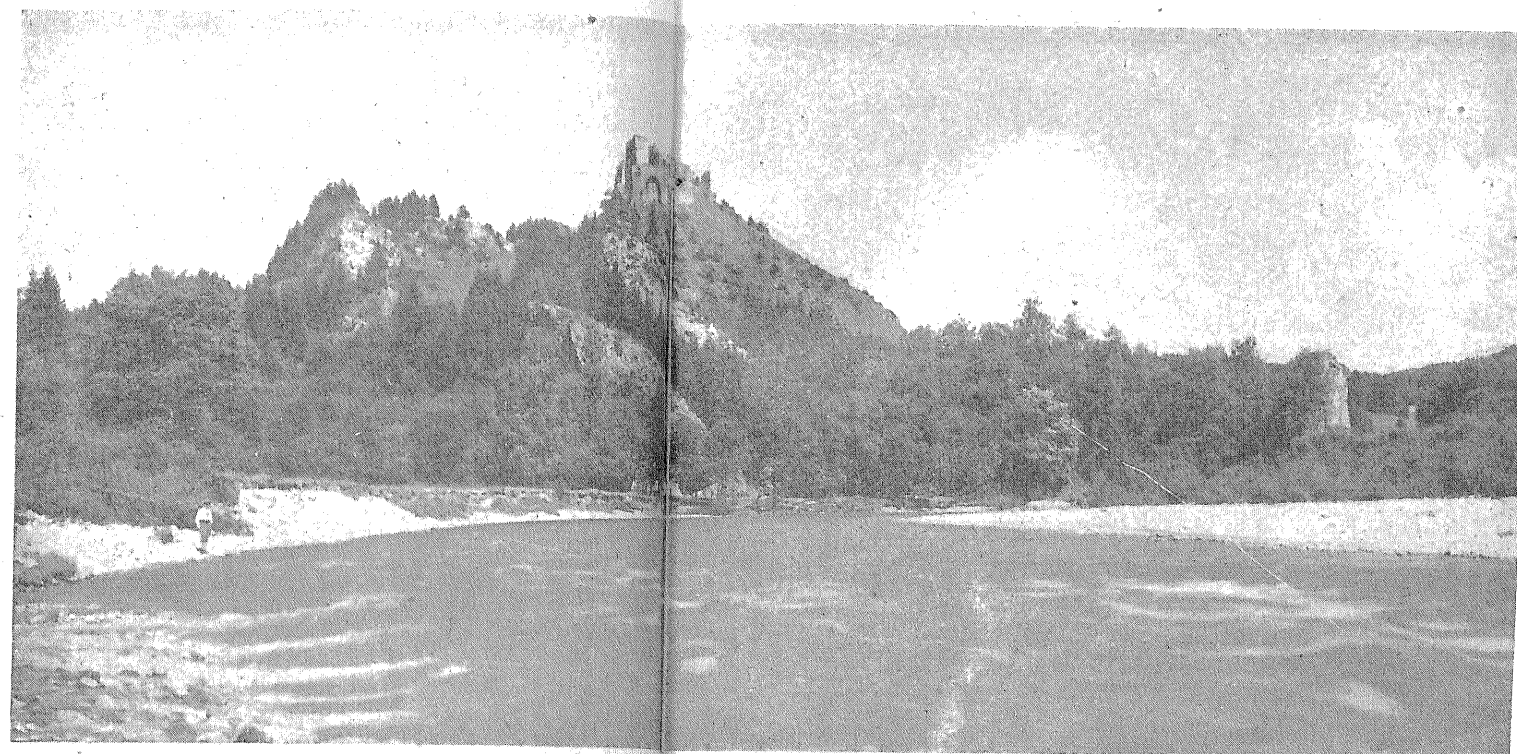
Wycieczka studentów belgijskich w Łodzi. Zdjęcie wykonane na dachu fabryki Scheiblera. Fot. A. Meyer



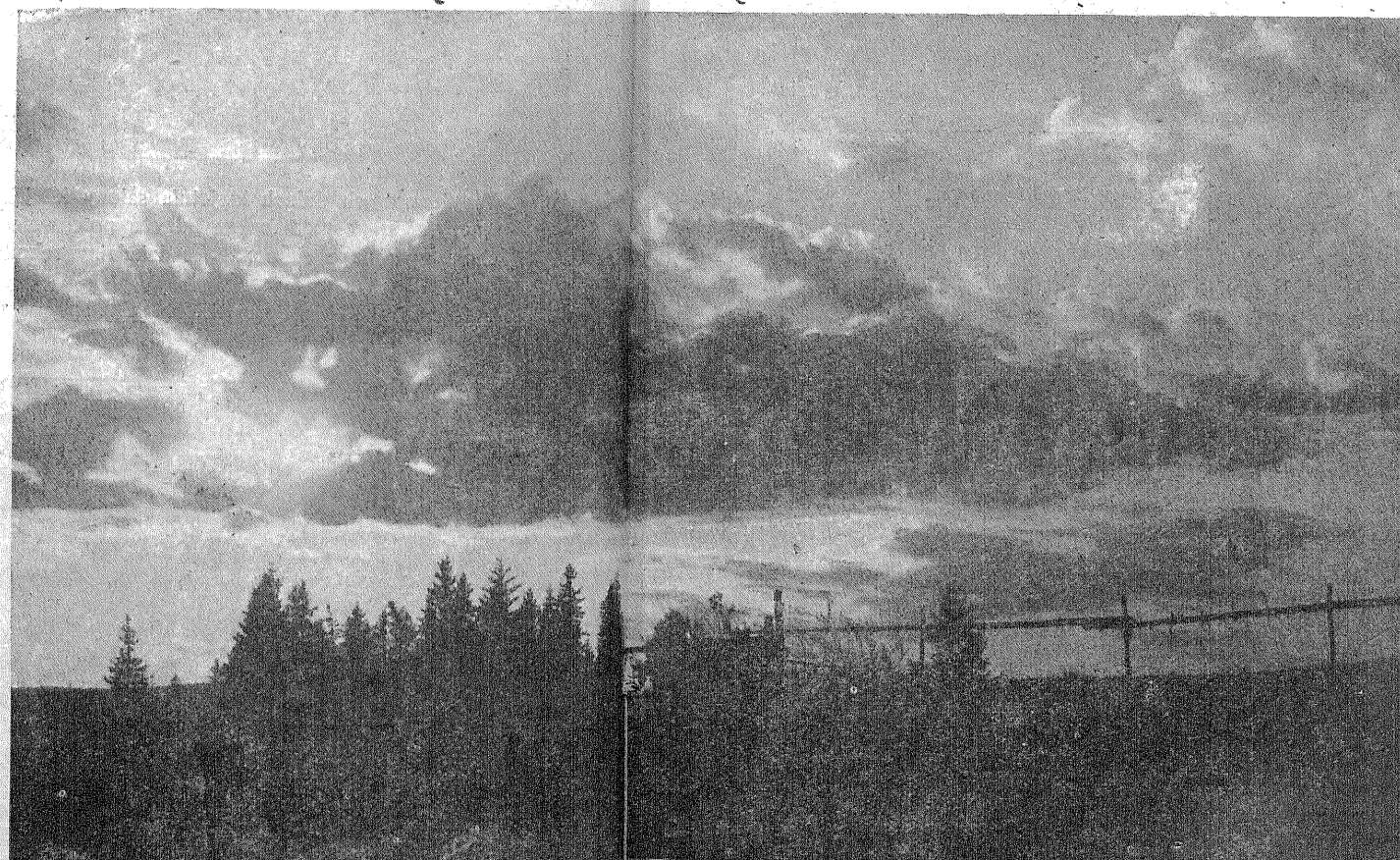
Statua Matki Boskiej w lasu krynickim.



Stanisława Kawińska, artystka teatrów warszawskich w karykaturze.



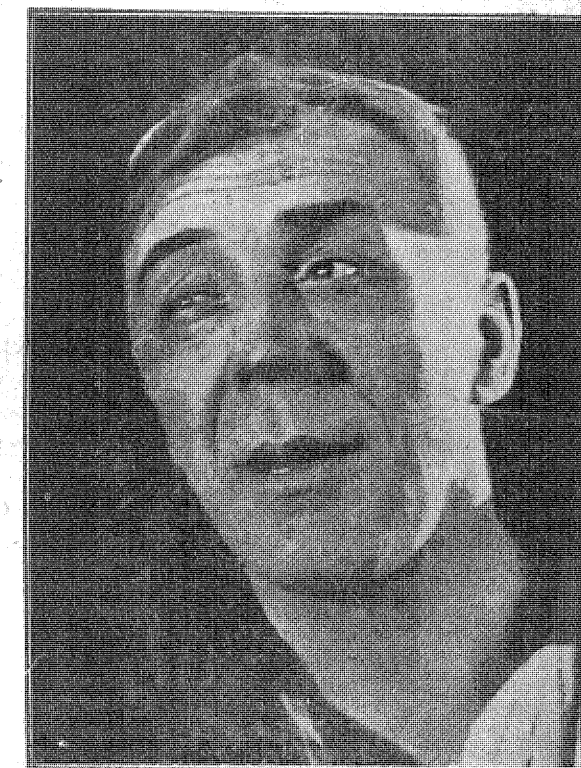
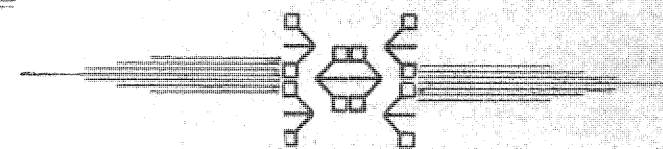
Romantyczny obraz księżęcej przeszłości w Polsce. Ten zamek w Czorsztynie — grodzie wasalów szlacheckich, kryjące w sobie cichą tajemną zmierzchu chwały i sławy.



Przepiękne ustronia krajowych kurortów, ożywione pierwszocześnie wiosną, budzą się do życia nowego strojąc w pełne uroku szaty wiosny w rozstępnionej Krynicy.



Ulubienca Łódzkiej i warszawskiej publiczności: Mieczysława Cwiklińska w swej popisowej roli scenicznej.



Wybitny artysta scen polskich, Kazimierz Junosza-Stępowski, w jednej ze swych pięknych ról.



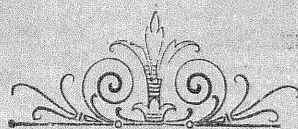
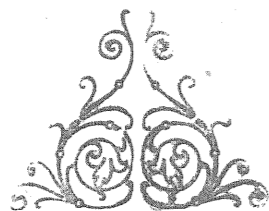
Skolne drużyny siatkówki Warszawy i Łodzi



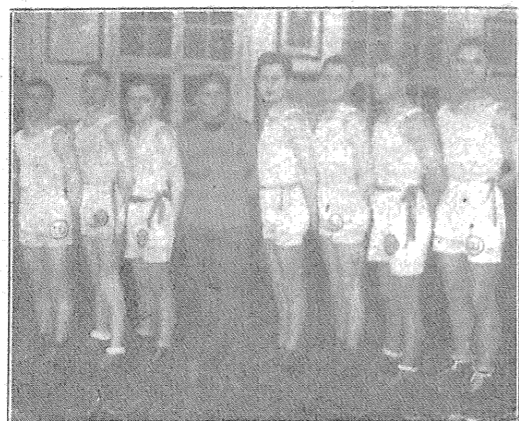
Nasi kolarze w Mentonie. Od lewej: Szymczyk, Podgórski, Lange, Iko.



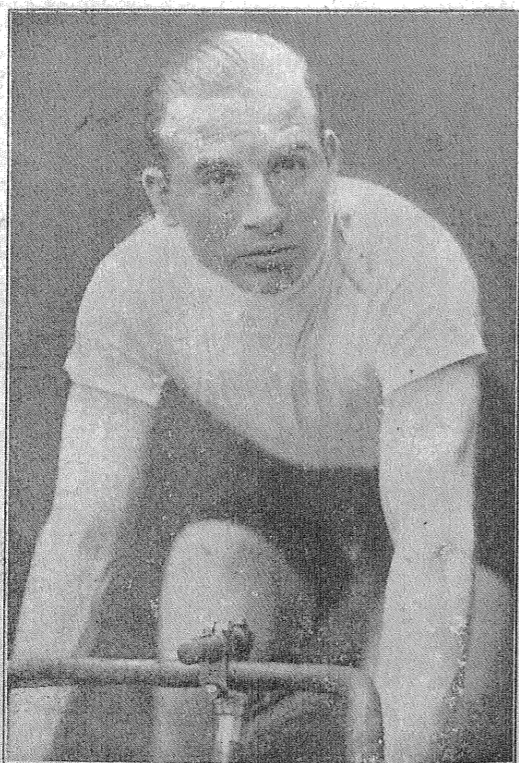
Japońskie lekkoatletki ze słynną Hitomi na czele.



Drużyna tenisa K. S. „Polonia”.



Drużynowy mistrz hokejski Polski K. S. „Warta”.



Edward Turowski, jeden z najbardziej obiecujący kolarzy.



Wielkanoc w Łodzi. Grób Chrystusa w kościele św. Krzyża.



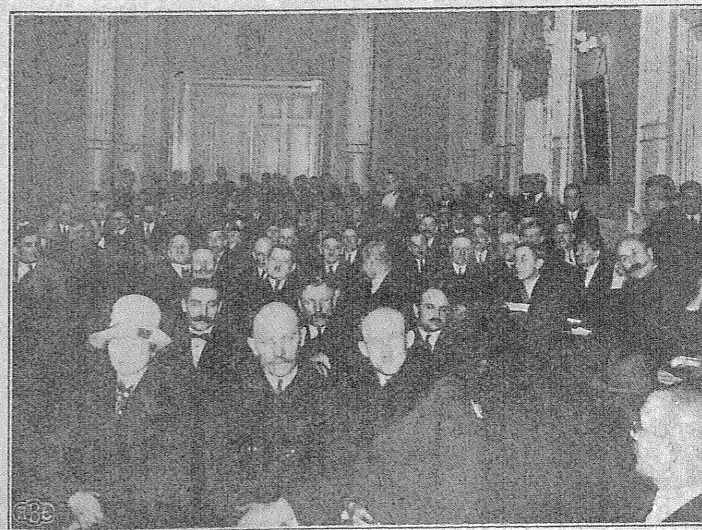
„Święcone”, zorganizowane staraniem harcerek Łódzkiej dla najbardziej potrzebnych m. Łodzi. Moment z ceremoniału poświęcenia pokarmów świątecznych przez ks. kapelana St. Nowickiego.



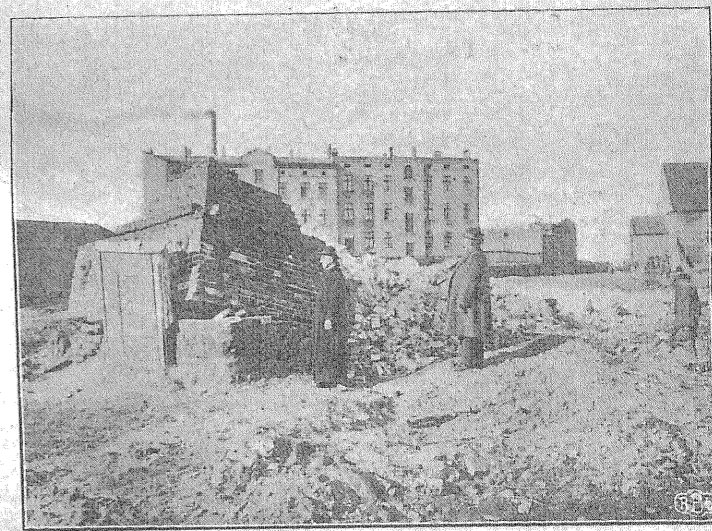
Zmarły przed wieloma laty w Łodzi głośny artysta sceniczny murzyna, Ira Aldridge, w swej popisowej roli Otella.



Przepiękny grób Chrystusowy w Katedrze św. Stanisława. Kostki tonie w powodzi żywego kwiecia.



Roczne walne zebranie pełnomocników Powszechnej Spółdzielni Pożyczyców w Łodzi



Rozbieranie starych murów i burzenie kominów fabrycznych przy ul. Pomorskiej. Fot. A. Meyer.

GUSTAW FRENSEN.

Osobliwy gość.

(Wspomnienie z lat dziecińczych).

Ojciec nasz zwykł był opowiadać nam, dzieciom, kiedyśmy jeszcze w domu mieszkali, rozmaite dawne wydarzenia ze swoich osobistych przeżyć.

Oto jedno z nich:

— Kiedy rodzice moi, wasi dziadkowie byli młodem jeszcze małżeństwem, mieszkał w Peterhofie stary wieśniak, który miał syna, przystojnego i dorodnego nawet chłopca, ale słabej i do chorobliwości namiętnej natury.

Mając lat siedemnaście, napadłszy w jakimś samotnym ustroniu na kobietę do posylek, ograbił ją z torebki z pieniędzmi, ażeby móc drogo grać w karty. Ponieważ złodziejstwo mu się upiekło, po roku, zadłużwszy się, zrobił to samo. Tym razem jednak, stara kobieta, broniąc się, rozemwała mu jedną powiekę na wpół. Nie było rady. Musiał uciekać. Nie mogąc się dostać do kasy swego ojca, udał się z chusteczką przy skałczonym oku do moich rodziców, wiedział bowiem, że mają w szafie trzysta marek, które właśnie podnieśli z kasy oszczędności dla pokrycia jakiegoś domowego długu. Skłamał, przed moimi rodzicami, że ma polecione wnieść pieniądze natychmiast zpowrotem do kasy oszczędności, której ojciec jego był kierownikiem.

Moji rodzice przez długie lata spodziewali się, że wieśniak zwróci im te trzysta marek, albo, że sym jego odeszłe je. Daremnie jednak. O symu wieść zaginęła. Moji rodzice nigdy nie mogli pocieszyć się po stracie tych pieniędzy, a więcej jeszcze po doznany zawodzie, byli bowiem zawsze bardzo dobrzy i życzliwie usposobieni dla chłopca.

Pewnego wieczora wigilijnego, kiedy my, dzieci, zabieraliśmy się właśnie do nakrywania stołu, starym zwyczajem weszła sąsiadka przez drzwi kuchenne, ażeby nam weselych świąt życzyć. Miała za naszym domem stara, bardzo zapadła karczma pod słomianym dachem. Teraz karczma ta jest zburzona, a grunt włączony do naszego ogrodu.

Po złożeniu nam życzeń zwróciła się do mnie z następującymi słowami:

— Wyobraź sobie, że mam dziś gościa, osobliwego gościa! Starego człowieka, który przybył z Ameryki. Pyta o pastora, nauczyciela, ale o twoich rodziców szczególnie. Poszedł teraz na cmentarz. Powiedzno mi, czy to możliwe... wygląda na lat siedemdziesiąt i jedna powieka mu opada... Czy to możliwe, żeby to był ten... ten...?

Byliśmy tak wzburzeni, jak gdyby belki z sufitu popękały i na nas miały spaść. Moja matka stała, nieruchomo pochylona nad ogniem. Co do mnie byłem wniebowzięty i zawolałem radośnie:

— On ma napewno pełne kieszenie złotych monet!

Jestem przekonany, że i mój ojciec wdział w duchu zbliżające się doń i do nas, jego dzieci, wielkie szczęście, miał bowiem jak ja, bardzo bujną wyobraźnię. Spojrzawszy jednak na moją matkę opanował się i rzekł tylko:

— Gdyby nam przywiózł nasze trzysta marek, bardzoby się nam przydały.

Dość krucho z pieniędzmi było u nas zawsze, a nadmiar złego oba wieprze w chlewku padły na zarazę.

Matka odwróciła się od pieca i odezwała zwykłym swoim cierpkim tonem:

— Ty i twój chłopak niemądzy jesteście, jak zawsze. Gdyby miał pieniądze, zamieszkałby w hotelu meldorfskim, a nie w naszej karczmie!

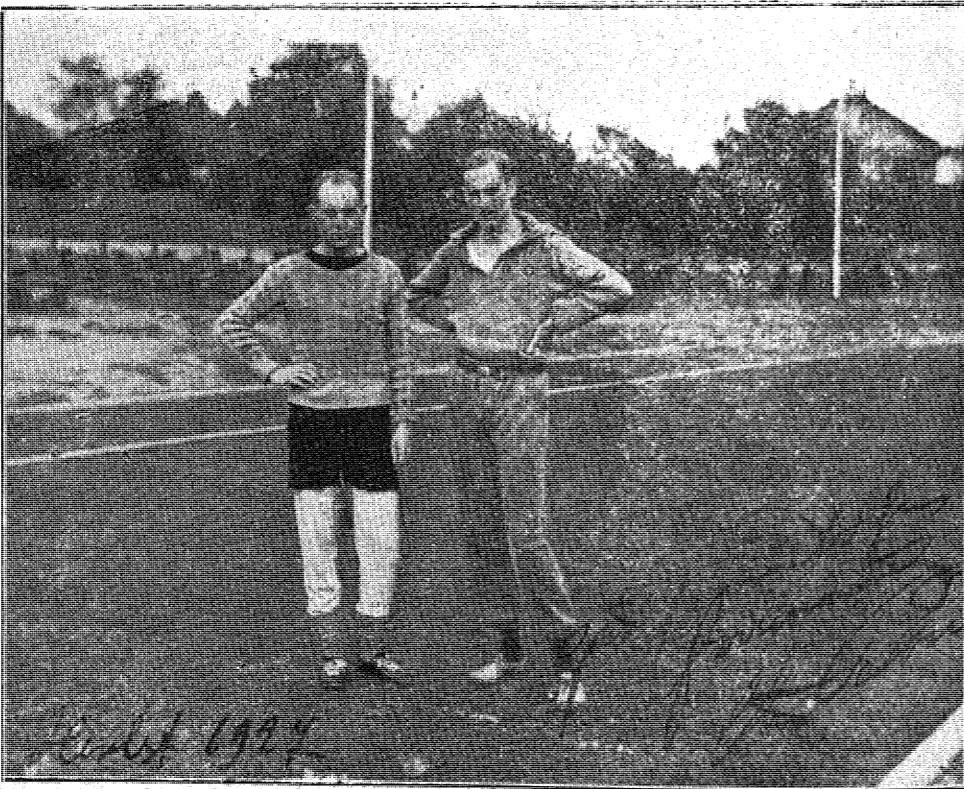
W tej samej chwili obcy wszedł do naszego mieszkania.

Był to chudy, stary mężczyzna o ostrym rysach twarzy, bez brody; głowę trzymał nieco do góry podniesioną, bo mu prawa powieka zwisała.

Wówczas mi się zdawało, że był zasobnie ubrany; teraz jednak wiem, że jego odzienie było, jak na Amerykanina szczególnie — Amerykanie wysoce dbają o strój — bardzo ubogie.

Mój ojciec zapytał:

— Dierk Peters? — i wskazał ręką pokój, gdzie stał nakryty stół.



Dwaj mezwycięzcy lekkoatleci świata Nurmi i P. Iizer



Nie pamiętam już, jakim sposobem znaleźliśmy się wszyscy w pokoju. Przypominam sobie tylko, że kiedy stanęliśmy przy nakrytym stole, stary człowiek odezwał się:

— Tak... przez całe, długie moje życie chciałem wszystko naprawić, ale nie poszczęściło mi się... Wiecie przecież... Kiedy miałem pięć dolarów w ręku, musiałem je przepić i przegrać... Pewnego razu umówiłem się z jednym z przyjaciół, że mi pomoże zebrać osiemdziesiąt dolarów. Nie miał jeszcze i połowy w kieszeni, kiedy mnie znowu opętało!... Napadłem nań, ograbiłem z pieniędzy i przepuściłem je... w ciągu jednej nocy... Tak doszedłem do siedemdziesięciu lat. I nagle zapragnąłem do kraju wrócić... pójść na grób rodziców i do was... ażeby opowiedzieć... że to było nad moje siły... Byłem już na cmentarzu... oba groby znalazłem... teraz tutaj jestem... nad moje siły...!

Jakże byłem rozczarowany! Niewypowiedzianie! Gorzko! Więcej, niż wszyscy! Ale też nigdy rodziców moich nie kochałem bardziej, jak owego wigilijnego wieczora, gdy stary dłużnik siedząc między nimi przy wieczerzy świętej, opowiadał nam o nędzy swego życia.

Tłum. Jotsaw.

— ... —



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

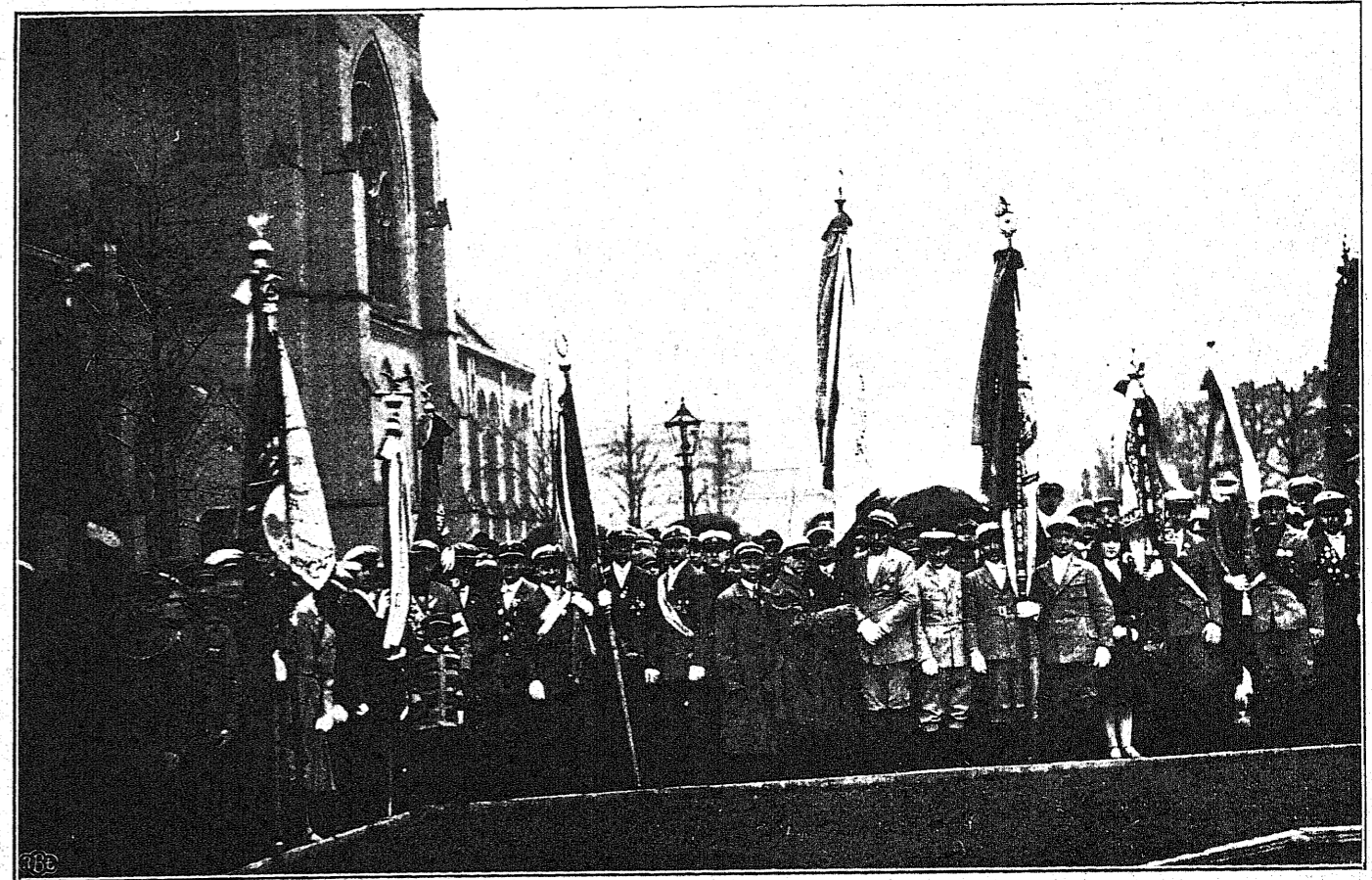
Rok V.

Łódź, 22 kwietnia 1928 roku.

№ 17.



Sport kolarski w Łodzi.



W dniu 15 b. m. nastąpiło w Łodzi uroczyste otwarcie sezonu kolarskiego. Powyżej kluby i zrzeszenia kolarskie wraz ze sztandarami przed katedrą św. Stanisława Kostki. Fot. A. Meyer

